



Kallka 2...
T.Pow. Wwa

„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34
tel./fax 813 44 95

TRYBUNA

00-835 WARSZAWA

ul. Miedziana 11

Nr **43** **20/21** **02-99**
..... Z dn.

Kaleka, czyli każdy

Ileokroć na afiszu pojawia się taka sztuka, jak „Kaleka z Inishmaan”, ogarnia mnie zazdrość. Zadaję sobie pytanie, dlaczego polscy autorzy nie potrafią pisać takich dramatów. „Takich”, to znaczy nie ulatujących w metafizyczno-groteskowe przestworza, bliskie ziemi, bliskie człowiekowi. Do grania i do myślenia. Bliskie ludzkiemu doświadczeniu, a jednak nie bulwarowe sztuczki, tylko dramaty pełnokrwiste, w których czuje się namiętności, niewymyślone konflikty i marzenia. Nie wiem, może takie sztuki powstają, a tylko teatr ich nie znajduje? Tak czy owak po raz ostatni znalazł „Antygonę w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego i od tej pory o nowych znaleziskach nie słychać.

Na szczęście z kłopotu od czasu do czasu wybawiają nas Irlandczycy. W każdym razie wybawiają stołeczny Teatr Powszechny, w którym współczesny dramat irlandzki jaśnieje od dobrych kilku lat. Po niedawnej świetnej premierze „Molly Sweeney” Briana Friel’a na Małą Scenę Powszechnego wszedł właśnie „Kaleka z Inishmaan” Martina McDonagha. Autor jest młody (29 lat), zaledwie przed trzema laty debiutował, tym większa zasługa tłumaczki (Małgorzata Semil) i teatru, że go wypatrzyli.

Pomysł jest prosty, bez mała plakatuowy. Oto w latach 30. (bo wówczas toczy się akcja) na niewielkiej wysepce irlandzkiej żyją zwykli ludzie, a wśród nich osierocony kaleka. Pewnego dnia pojawia się niedaleko ekipa filmowa z Hollywoodu, poszukująca gwiazdy. Chłopak marzy, aby wyrwać się z wysepki i swego dopina ku rozpaczcy swych przyszywanych ciotek i zazdrości innych. A potem wraca. To właściwie wszystko, co można opowiedzieć, aby nikomu nie odebrać przyjemności śledzenia fabuły, choć nie w niej kryje się tajemnica sukcesu tego dramatu. McDonagh przedstawił bowiem precyzyjną

fotografię lokalnej, prowincjonalnej społeczności, z jej ograniczeniami, niedokształceniem, kompleksami, tęsknotami i naleciałościami.

Kaleką jest młody chłopak, ale właściwie wszyscy cierpią na jakieś niedobory albo nadmiary emocji, wszyscy są psychicznymi kalekami. Jedna z ciotek rozmawia z kamieniem, kiedy szuka kogoś sobie bliskiego, druga zajada się cukierkami głuścąc nerwice. Sąsiad żebze o jajka, a choćby i puszkę z groszkiem, uganiając się za nieważnymi wiadomościami, którymi handluje jak domokrażca. Jego matka tego popija. Helen popisuje się chamskimi manierami, wyzywa wszystkich i tłucze jajka. Jej brat niedołęga wyśmiewa się z innych, ale sam słabo orientuje się w swojej sytuacji, a Babbybobby pięścią i pałąk wyrównuje rachunki z losem. Wśród nich krąży lekarz, który już dawno stracił nadzieję, że kogokolwiek uleczy.

Te z gruba określone sylwetki aktorzy wypełniają życiem, dodają im wewnętrzne blasku i siły, bronią przed jednostronnym i niezasłużonym potępieniem, wydobywając spod skorupy odruchów, nieprzyjaznych warknięć i gruboskór-

nych zachowań ukryte piękno. Autor do brotliwie sugeruje, że w każdym tłucze się dusza anielska, tylko diablo wstydlawie skrywana. Artyści Powszechnego odsłaniają tę anielską twarz, nie skapiąc i diabelskich grymasów. Wszyscy grają jak natchnieni. Dawno nie widziałem spektaklu tak doskonale wewnętrznie zharmonizowanego, tak spójnego i jednocześnie tak emocjonalnie mądrego.

Wyróżnić trzeba wszystkich współtwórców tego skromnego przedstawienia, które jest do prawdy wielkim, bo o wielką stawkę się tu gra – o szczęście człowieka. Węc na początek ciotki: rozdygotana i wzruszająca Elżbieta Kępińska, wiecznie odkurzająca stare puszkę z konserwowym groszkiem; pozornie oschła, zakompleksiona, bo świadoma swego nieokrzesania Grażyna Marzec; obie zakochane w przybranym krewniaku po uszy, choć nie dają tego po sobie poznać. Ich sąsiad, wszędobylski Johnny Władysław Kowalskiego, myszkujący nerwowo wzrokiem i uchem niezmordowany „dziennikarz” z bożej łaski, twardziel o międkim sercu; jego matka po 90-tce, gustująca w mocnych



Grażyna Marzec i Elżbieta Kępińska

trunkach Mammy Wiesławy Mazurkiewicz, szczerza aż do bólu i nieco zdzienniała.

Piękna, aż wyzywająca Helen Edyty Olśzówki, na pozór wulgarna i wojownicza, a tak naprawdę pełna powabu dziewczyna o sentymentalnym wnętrzu. Jej brat, któremu rozbija jajka na głowie (dosłownie!), w powyciąganym podkoszulku, łajzowaty, gamoniowaty lasuch Rafała Królikowskiego, który godzinami może poządlawie wpatrywać się w ślój z cukierkami w poszukiwaniu żelków-melków. Nieprzejednany wróg wszystkiego, co odmierne, a więc i kalek, owdowiały młodo Babbybobby Michała Zielińskiego, chłopak, który koniecznie chce okazać zło. I lekarz miejscowy, rzetelny, wszystko już widział, ale ciągle zadziwiony światem Krzysztof Stroiński. Wszyscy oni pod reżyserką batutą Agnieszki Glinńskiej i Władysława Kowalskiego grają wyśmienicie, przekonująco, prawdziwie. Nietatwo było na takim de zaistnieć najmłodszemu w zespole,

le, odtwórco roli tytułowej, Łukaszowi Garlickiemu. A jednak dotrzymał kroku mistrzom. Jeszcze student warszawskiej Akademii Teatralnej pokazał nie tylko swoją głęboką wrażliwość, talent i młodzieńczą gorliwość, ale także zdyscyplinowanie – poddał się bowiem całkowicie rytmom spektaklu, współtworząc jego nastrój, dodając do nich autentyczne emocje cierpiącego chłopca, tęskniącego za miłością.

Polecam państwu ten spektakl – idźcie koniecznie do Powszechnego, żeby spotkać się z prawdą ludzkich uczuć i przeżyć ożywcze katharsis. Można je odnaleźć, jak się okazuje, także we współczesnym dramacie. Z Irlandii do Polski bardzo blisko.

Martin McDonagh, „Kaleka z Inishmaan”, tłum. Małgorzata Semil, reżyseria Agnieszka Glinńska, Władysław Kowalski, scenografia Magda Maciejewska. Mała Scena Teatru Powszechnego w Warszawie. Premiera – luty 1999